Nr. 11. We Lwowie dnia 1. czerwca 1911. Rok XXXIV.





# ŁOWCA

## okładka inseratowa.

**Kalendarzyk łowiecki.** **W czerwcu** wolno polować na rogacze od 16-go zaś czerwca na ptactwo wodne. Innych gatunków zwierzyny łownej, prócz wyż wymienionej sprzedawać nie wolno.

BIURO WYDZIAŁU GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO I JEGO KASA, jak również Biuro **Redakcji i Administracji** jego organu **„ŁOWCA“** znajduje się przy ul. **Jagiellońskiej l. 3, II p.** Godziny urzędowe dla stron od 9—1. W niedzielę i święta biura zamknięte.

**Wszelkie wpłaty** należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przysyłać wszelkie korespondencje przeznaczone tak dla Wydziału Towarzystwa, jak dla Redakcji i Administracji „Łowca“.



**Przy zamówieniach upraszamy czytelników powoływać się na anonse umieszczone w „Łowcu“.**

*Zamieszczamy anonse tylko pierwszorzędnych firm.*

Dom bankowy i Kantor wymiany

# SOKAL & LILIEN

**we Lwowie, ul. Hetmańska 12.**

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego galic. Banku krajowego i obligacje galic. pożyczki krajowej, wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacje pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne. pod najkorzystniejszymi warunkami.

**Przyjmuje za mierną prowizją wszelkie zlecenia, wchodzące w zakres interesów bankowych.**

Zlecenia z prowincji wykonywa się jak najrychlej.

---

Rządowo uprawniona

## FABRYKA WÓD MINERALNYCH

**sztucznych i specjalnych leczniczych**

pod firmą

# K. RZĄCA i CHMURSKI

**w Krakowie, ul. św. Gertrudy l. 4.**

wyrabia pod kontrolą Komisyi Przemysłowej Towarzystwa Lekarsk. Krak. polecone przez to Towarzystwo

## WODY MINERALNE

odpowiadające składem chemicznym wodom: **Bilińskiej, Gieshüblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen,** tudzież

## WODY SPECJALNIE LECZNICZE,

jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną, oraz **Wody lecznicze normalne** z przepisu *prof. Jaworskiego.*

**Sprzedaż cząstkowa w aptekach i droguerjach. — Cenniki fran.o.**

---

# Wszelkie kupony

i wylosowanę papiery wartościowe

wypłaca bez potrącenia prowizyi lub kosztów

**Kantor wymiany**

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

## BANKU HIPOTECZNEGO.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemkiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku krajowego,
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
i wszelkie renty państwowe.

**Nadto polecamy akcye Galic. Towarzystwa elektrycznego.**

*Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.*

KANTOR WYMIANY

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

## BANKU HIPOTECZNEGO.

---

# Henryk Bogdanowicz

C. k. uprzyw.

## FABRYKA KLOZETÓW

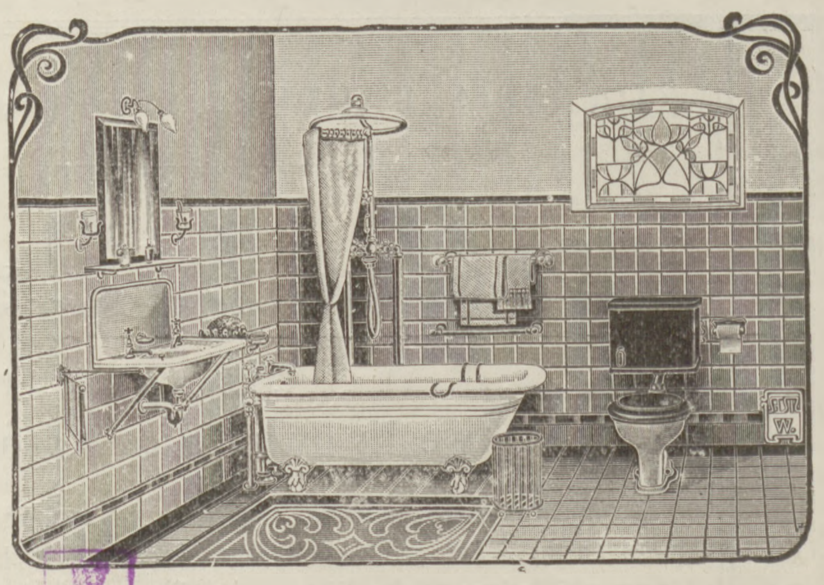
założona w r. 1885.

**Koncesjonowany Zakład instalacyjny dla wodociągów.**
**Biuro, skład i fabryka we własnej realności**
**we Lwowie, ulica Piekarska 13. Telefon 388.**

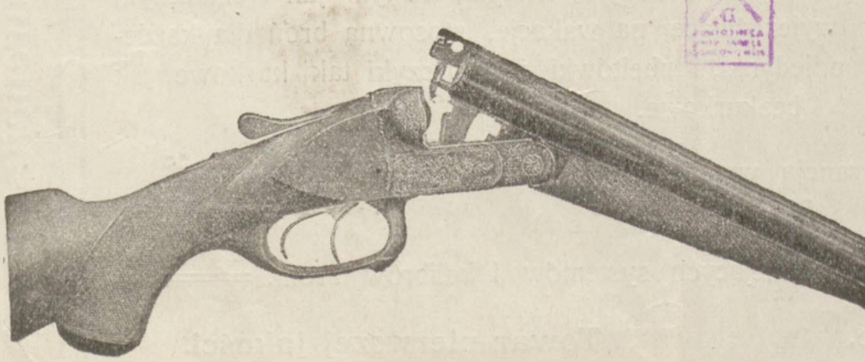
**Lejarnia z metalu i cynku** przedmiotów artystycznych, figur religijnych, pomników pamiątkowych, ornamentów, alegorji do aquaryj i wodotrysków, liter, tablic itp.

**Zakład blacharstwa,** robót metalowych itp., łazienek, parówek, lodowni pokojowych, krzyżów, pomników, wieńców, latarń grobowych, ulicznych i klatek schodowych; zwykłych i sztukateryjnych pokryć dachów.

Z każdego działu wyrobów, na żądanie wysyła się cenniki gratis.



---



## KAROL BIRTUS

**Magazyn broni i towarów galanteryjnych**

**Tarnów, ulica Krakowska liczba 1**

poleca:

**Broń myśliwską** najlepszej jakości, oraz wszelkie przybory dla P. T. myśliwych.

**Wyroby nożownicze** oryg. angielskie w wielkim wyborze, jako to: brzytwy, scyzoryki, nożyczki, maszynki do golenia i strzyżenia włosów.

**Przybory do podróży,** kuferki, walizki i torebki.

**Cenniki darmo i opłatnie.**



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 12 koron = 12 marek = 6 rubli.

# ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.



## Odezwa.

Ponownie udajemy się do Szanownych naszych Czytelników z uprzejmą prośbą o nadsyłanie nam udałych zdjęć scen myśliwskich, zwierząt łownych itp. celem ilustrowania „Łowca“.

Dr. WIKTOR JELOČNIK.

## Nowy proch bezdymny austryjacki.

Austryjacki zarząd monopolu prochowego wyrabia obecnie kilka gatunków prochu, po części zupełnie nowych, które puścił już w obieg handlowy, zmieniając niektóre nazwy dawniejszych sort i dopuszczając do ogólnej sprzedaży gatunki, których wyrób był dawniej ograniczony.

W handlach nabywać można było do niedawna tylko dwa gatunki prochu bezdymnego — t. zw. proch myśliwski i tarczowy Nr. I. i II. oraz — po ominięciu pewnych trudności — właściwy proch bezdymny, 0.5/2 mm. M. 92, tarczkowy (zwany najczęściej »M. 92« albo »Mannlicherpulver«).

Wszystkie te trzy gatunki są dobrze znane i dokładnie omówione w prasie, w której powszechnie podniesiono ich braki i domagano się spreparowania gatunku, któryby odpowiadał wszelkim nowszym wymogom, a żądanie to — wobec obowiązującego myśliwych austryjackich monopolu, było tem więcej naglące i słuszne.

Podczas, gdy proch bezdymny myśliwski i tarczowy Nr. 1 nadawał się tylko do strzału śrutowego i do niektórych specjalnych drobnokalibrowych sztućczyków (cal 22 — 6 mm.), proch zaś Nr. II. mógł być stosowany do broni tarczowej w niewielkich tylko ilościach, proch »M. 92« stosowany był do broni kulowej. Pomijając jednak

okoliczność, że nie można go nabywać we wszystkich składach prochu, nie podobna zamilczeć, że napełnianie nim łusek nastręcza wiele trudności, oraz, że używanie go jest ograniczone, wskutek nierównomierności w spalaniu (powolne spalanie się w większych kalibrach) tylko do broni o małych pociskach płaszczykowych (6·5 do 7 mm.), a co najwyżej do kalibrów średnio-dużych (8 mm.). Do pocisków potężniejszych (9—11 mm.), a zwłaszcza do ciężkich ekspressów, których kule są opancerzone papierem lub cienką łuską miedzianą, pomysł zastosowania tego gatunku prochu okazał się niejednokrotnie bardzo niefortunny.

Większość zaś myśliwych domagała się prochu odpowiedniego właśnie do pocisków większo-kalibrowych, skutkiem czego zarząd monopolowy skłonił się do wydania dwóch nowych gatunków prochu — bez żadnych ograniczeń w sprzedaży — a mianowicie »0·5/2 mm.« i »M. 92«.

Myśliwi austryjaccy, mogą zatem nabywać obecnie pięć gatunków bezdymnego prochu — dalsze sorty mają się pojawić — z pomiędzy których zamierzamy omówić dwa ostatnie.

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na nazwy tych gatunków, po części zmienione, a przestrzegane przez rząd z całą ścisłością; w ten tylko bowiem sposób możliwem jest uniknięcie pomyłek i konfuzji, jeśli nie gorszych następstw.

Oto one:

*a*) Bezdymny proch myśliwski Nr. 1 (*Rauchloses Jagdpulver*) czarne tarczki (przedtem *Rauchl. Jagd-u. Scheibenpulver Nr. 1*).

*b)* Bezdymny proch myśliwski Nr. 2 (*Rauchloses Jagdpulver Nr. 2.*), szaro-żółte tarczki; przedtem *rauchl. Jagd-u. Scheibenpulver Nr. II.).*

*c*) Bezdymny proch myśliwski Nr. 3 (*rauchl Jagdpulver Nr. 3*); czarne tarczki — nowo wprowadzony.

*d*) Bezdymny proch myśliwski Nr. 4 (*rauchl. Jagdpulver Nr. 4*); niebieskie, okrągłe ziarnka.

*e*) Bezdymny proch myśliwski Nr. 5 (*rauchl. Jagdp. Nr. 5*); szare łuski (przedtem: 0·5/2 mm. M 92 Scheibenpulver).

Wszystkie wymienione gatunki są sprzedawane w blaszanych puszkach $^1/_4$ i $^1/_2$ kilogramowych, różniących się barwą; i tak: proch *a* i *b* sprzedają w puszkach *czerwonych*, *c* w *żółtych*, *d* w *jasno-niebieskich*, zaś *e* w *popielatych*. Na każdej puszce, oprócz nazwy jest jeszcze parę wierszy pouczenia o sposobie użycia, oraz kilka dat dotyczących dopuszczalnych do amunicji nabojów.

Ponieważ artykuł niniejszy zamierza omówić gatunki całkiem nowe, t. j. *c* i *d*, zaś *a b* i *e* są już powszechnie znane i ocenione, więc tutaj nadmienićby tylko można, że nazwa *bezdym. pr. myśl. Nr. 1* (*a*) powinnaby brzmieć raczej *bezdym. proch do strzału śrutowego* (*rauchl. Schrotschusspulver*), ponieważ doświadczenie dowiodło, że do strzałów kulowych, z broni o dużym wagomiarze, mniej dobrze się nadaje. Tosamo powiedziećby można o prochu Nr. 2. który słuszniej byłby się był nazywał *bezd. proch tarczowy* (*rauchl. Scheibenpulver*), ponieważ jego zastosowanie ogranicza się niemal wyłącznie do broni tarczowej, nie wymagającej ani zbyt dużej rasancji, ani dużej żywej siły pocisku — warunków, pociskowi »myśliwskiemu« jak najpierwej stawianych.

Dalszym powodem, dzięki któremu zastosowanie tego prochu w broni myśliwskiej nie jest pożądane, jest bardzo wysoka temperatura płomienia (wytwarzanego przez oba gatunki) co pociąga za sobą rychłe uszkodzenie gwintów Natomiast odpaść musi twierdzenie, z palca wyssane, iż kwas azotowy, który powstaje również jako produkt spalenia, nagryza lufy; przy spalaniu się bowiem powstają również silne zasady, ługi, które działanie kwasu zupełnie neatralizują.

Omówiwszy pokrótce dwa pierwsze gatunki prochu, zajmijmy się obecnie dwiema, całkiem nowemi sortami.

I.

**Bezdymny proch myśliwski Nr. 3.**

Na wybór kształtu ziarn tego prochu złożyło się wiele doświadczeń teoretycznych i praktycznych. Ziarna te tworzą kwadraciki około 1·5 mm.$^2$ powierzchni, a 0·3 mm. grube, barwy lśniąco-czarnej. Pod względem chemicznym, jest to czysty proch z nitrocelulozy (bawełna strzelnicza) i nie zawiera ani lotnych, ani mineralnych dodatkowych składników. Barwa czarna pochodzi wskutek powleczenia łusek cienką warstewką grafitu, której zadaniem jest uodpornienie produktu na wilgoć i jak najdokładniejsze wyrównanie powierzchni, a wreszcie ma zapobiedz zczepianiu się poszczególnych ziarn, co następuje, gdy te, skutkiem wzajemnego ocierania, naelektryzują się. Oprócz tej jednej warstewki izolacyjnej, jest jeszcze i druga, a mianowicie pokost żywiczny, który wpływ atmosfery całkowicie wyklucza.

Romimo tych przewidzianych i uskutecznionych środków ochronnych, zaleca się przechowywać proch w miejscu jak najsuchszem, a tosamo obowiązuje przy każdej z nim manipulacji, zwłaszcza przy napełnianiu łusek; spłonki bowiem nie są od wilgoci niczem chronione, łatwo jej podlegają i tym sposobem, strzał, nawet świeżym i suchym prochem w wysokim stopniu warunkują.

Nowy proch, do dobrego równomiernego i szybkiego spalenia, potrzebuje nieodzownie odpowiedniego zapału, podobnie zresztą, jak każdy inny. Spłonka powinna być silna i wybuchać ma intenzywnie. Większa część gatunków łusek sprzedawanych w handlach jest opatrzona takim właśnie zapałem, jednakże łuski, nie sporządzane wyłącznie do prochów bezdymnych, jak np. łuski ekspresowe kal. 8·1 i 9·3 mm., muszą być zaopatrzone specjalnie w mocniejszy zapał (Specialzündung).

Przy sporządzaniu nabojów konieczne jest nadzwyczaj dokładne odważenie prochu, ponieważ mierzenie go jest niewystarczające. Gdy zaś zważymy, że pomyłki na jedną dziesiątą grama, powodują już znaczne różnice w szybkości, celności i prężności zrozumiemy, że wolno go używać tylko do broni zbudowanej specjalnie do prochu bezdymnego.

Ostrzeżenia pod tym adresem wypowiadane, nie są nigdy zbyt częste, jednakże w naszym wypadku odnoszą się one do nabojów najsilniejszych, gdyż o słabszych — jak się niebawem przekonamy — powiedzieć można, iż wykazały mniejsze ciśnienie i wogóle okazały się lepsze niż naboje z prochem bezdymnym Nr. 5 (M. 92), a co więcej, pomimo tego, że dają większą siłę i większą chyżość, wytwarzają mniej ciśnienia niż zwyczajny proch czarny.

Proch bezdymny Nr. 3, nadaje się i powinien być używany do nabojów o pociskach opancerzonych twardym materjałem, (stalą, niklem, mosiądzem), natomiast nie poleca się go do nabojów, posiadających kule w miękkich pancerzach (papierowych) lub ołowianych. Te ostatnie, nie wytwarzając wielkiego tarcia, a temsamem i opo-

ru, powodują powolne spalanie się prochu, i co za tem idzie, małe ciśnienie w lufie; okoliczność ta — niepożądana w strzale pociskiem miękkim, jest bardzo cenna, gdy się odnosi do kuli opancerzonej w stal. Jakkolwiek zarząd monopolowy wyraźnie przestrzega przed stosowaniem tego prochu do nabojów z miękkimi pociskami, to jednak spotkać się można często z żalami na złe wyniki otrzymane tym prochem w strzałach kulami bezpłaszczykowemi; »centa za oszustwo« w podobnych wypadkach nie może płacić rząd, lecz strzelający powinien go sam sobie wypłacić, bo sam się dobrowolnie oszukuje.

Tu wypada zauważyć, że i nie do wszystkich kul płaszczykowych proch omawiany, równie dobrze się nadaje. Do wszystkich mianowicie pocisków małokalibrowych polecić go nie można, natomiast godzien jest polecenia do kalibrów większych. Do kalibrów najmniejszych nadaje się znakomicie proch Nr. 5, jak tego dowiodły próby z Schönauerem 6·5, który dał **750 m.** szybkości początkowej.

W każdym razie i tu trzeba zrobić zastrzeżenie, że znakomita jego sprawność wykazuje się dowodnie przy odpowiedniej długości lufy. W króciutkich lufkach broni myśliwskiej chyżość nie przedstawi się w imponującej liczbie 750 m. sec, lecz 650—700, zależnie od długości lufy.

Sporządzeniem nowego prochu, nadającego się do średnich i dużych kalibrów, zapełniono właśnie dotkliwą lukę, i niema powodu wątpić, że dalsze ulepszenie prochu Nr. 3, da nam materjał strzelniczy, pod każdym względem zadowalający. Obecnie to można z zadowoleniem stwierdzić, że ulepszony fabrykat Nr. 3 może bez obawy wytrzymać porównanie z najlepszymi wyrobami zagranicznymi, a wiele z nich nawet przewyższa.

W każdym zaś razie, większość narzekań na monopol prochowy, musi obecnie ustać, a zarzuty — lub przynajmniej ich większość — podnoszone na kongresie i w prasie fachowej powinnyby również ustać, tem więcej, że najczęściej powstawały wskutek nieumiejętnego stosowania różnych gatunków. Nakoniec wiele zarzutów było tendencyjnych, czynionych z całą świadomością złej woli, co jednak odparto licznemi doświadczeniami.

(C. d. n.).



# Z mozajki dziczej.

*Pod tym tytułem umieszczamy opisy polowań na dziki i ciekawe zdarzenia, będące z tym grubym zwierzem w związku. Szanownych naszych Korespondentów, prosimy o utrzymanie przy życiu tej zajmującej każdego myśliwego kroniczki, przez nadsyłanie nam przeznaczonych dla niej artykułów.*

### 1. Pierwszy dzik.

W pomroce czasu tonie zwolna rok po roku i nawet się człowiek nie spostrzegł, jak mu nagle przybywać poczęło srebrnych nitek na łbie; często też już opadają człeka pesymistyczne myśli, jak rój owadów dokuczliwych i narzeka, że coraz gorzej na tym nędznym padole płaczu, że nie taki świat piękny jak dawniej, że śruty jakieś krzywsze, a zające zwinniejsze w skokach itp.

Tymczasem świat jednaki; słoneczko taksamo świeci, drzewa, kwiaty tak samo zielenieją i kwitną, a ptaszki śpiewają, jeno człek inny, bo starzeje się, a zatem i pryzmat przez który na świat patrzy, z różowego stał się widocznie jakiś szary i coraz ciemniejszy.

To też w chwilach rozmyślań na ten temat wraca się mimowoli pamięcią w czasy życia »sielskiego, anielskiego«, w czasy »młodości chmurnej, a górnej«, kiedy to, ze strzelbą w ręku, czuł się człowiek wśród cudnej naszej

# Obrazki z podróży.

**Wspomnienia z dawnych i spostrzeżenia z nowych czasów.**

(Napisał Józef Korczak Sylwanus — z nad Tyśmienicy).

(Ciąg dalszy).

III.

Wreszcie zadniało i przecierał się refleksem śniegu spotęgowany, biały dzień, mdławymi kolorami krasząc okolicę. Oto już zamek Łobzowski!

Przymknąłem oczy. Zaroiły się przed oczyma postaci z wieków dawnych — Król chłopków i Bona i zaczął przed okiem duszy Kraków rozkwitać i rozwijać się. Wątek historji, tradycji i legendy zasnuł się aż do ostatniego aktu naszej niezależności — którego wiecznym świadkiem na brzegu błonia »Kopiec Kościuszki«.

Rzewnie mi jakoś było i radość połączona z nabożeństwem opanowała mię, gdym stanął stopą na ziemi ojców. Ścisnęło mię za gardło — w oczach się zakręciło i dziwi mię dziś jeszcze, żem nie uściskał pierwszego lepszego na peronie. Całemu światu byłbym powiedział w ekstazie.: »Jestem synem tego kraju, Wy moimi braćmi!«

Nawinął się jakiś nie bardzo wyspany posługacz.

»Proszę, Panie kochany, zanieść me rzeczy do garderoby — chciałbym się umyć i oczyścić«.

— Ta dobrze! Odebrał mi z ręki walizkę, torbę i kocyk.

Przepychając się przez wychodzących dobiłem się do garderoby — kilkanaście kroków — w tym czasie wsłuchując się w dźwięki mowy polskiej.

Posługacz wręczył mi kupon i wyciągnął rękę.

Dałem 10 grejcarów.

Popatrzył się na mnie... Ja szóstki nie biorę! rano o 6-ej — 4 kawałki — należy mi się 30 grejcarów:

Nic nie mówiąc dołożyłem jeszcze 10 centów.

»A to co! Krzyknął... Pan durniczki szuka, oko! ja nie taki! — co pan sobie myśli! — 40 grejcarów abo!...«

No co »abo«? rzekłem, sięgając do kieszeni.

To zobaczymy!... jest tu i policjant...

Aż mi zakipiało pod czubem...

Mniejsza z tem, mityguję sam siebie — dałem i wszedłem do garderoby.

Pytam o umywalnię. Małe dziewczę powiada mi — »umywalnia na kurytarzu obok, ale trzeba obejść kołem«.

Potrzebowałem walizki i torby aby się przebrać — pytam za portjerem.

»Tam na kurytarzu będzie«.

W istocie! W wygodnym fotelu, z długą fajką, siedział

przyrody panem, szczęśliwym bez granic — wraca myślą w czasy, kiedy się liczyło dnie i godziny do wyjazdu na święta, wakacje, a szczególnie święta Bożego Narodzenia.

Ach! Jakżebym chciał choć jeden dzień mieć obecnie taki błogi i szczęśliwy, jak wówczas dzień wyjazdu ze Lwowa, po rozdaniu przez rektora kart zniżen!a jazdy koleją!...

Zostawiając za sobą gwar stolicy kraju, który nawiasem powiedziawszy, drażnił mnie zawsze niepomiernie i nie mogłem się doń przyzwyczaić, tem chętniej uciekałem w zacisze prawdziwie leśne, gdzie brat starszy był zarządcą lasu i dwu małych folwarczków w T. Miejscowość ta przypomina mi zawsze najmilsze, najrozkoszniejsze chwile z życia łowieckiego, bo chwile lat młodocianych; a choć obecnie i więcej się strzela i z lepszej broni, to przecie tak rozkoszy myśliwskich człowiek nie odczuwa jak wówczas, ani też obcowanie z cudami przyrody nie wywiera już nań takiego silnego wrażenia, ani w podobny zachwyt nie wprawia, jak dawniej. Tam też ziściło się moje marzenie, jako młodocianego myśliwego, t. j. ubiłem pierwszego dzika i to pierwszego, jaki mi w życiu pod lufę przyszedł.

Jednak pod jednym względem rzeczywiście dawniej było lepiej, bo w ślicznej tej kniei w T. były ciągle dziki prawie stale; obecnie czy warunki się zmieniły, czy też po prostu dzików poczyna brakować — to ostatnie prawdopodobniejsze — dość, że w ostatnich latach mego tam pobytu, trudniej było już o spotkanie z dzikami. Przed laty jednak dwudziestu kilku, gdym przyjeżdżał tam na ferje, jako młody technik, zawsze brat miewał stale dziki i to w zimie karmione koniną, która im tak smakowała, że z miotu tygodniami nie wychodziły, a co najwyżej na mały spacer po sąsiednim, i wracały napowrót do swych »rozbratli«.

Była niedziela, przed samą wigilią Bożego Narodzenia. Śliczny dzień zimowy; jasno, spokojnie i mroźno. Las w oszedzi i jakby spowity w tiulową sukienkę, przetykaną drogimi kamieniami, zapraszał i ciągnął ku sobie. Nie polowaliśmy jednak nie chcąc niepokoić kniei, ze względu na zamierzone, zaraz po świętach, większe polowanie, specjalnie na dziki. Siedząc właśnie przy obiedzie z bratem, układaliśmy plan przyszłej kampanji dziczej, gdy wchodzi nagle do pokoju stery leśny, a ocierając z czoła pot, mimo mrozu, i oddychając szybko, powiada, iż ma otropionych sześć dzików w takim małym kawałeczku, że gdybyśmy obydwaj tylko pojechali, to z pewnością polowanie udać się musi. Brat, wysłuchawszy relacji ze szczegółami, pomyślał chwilę i rzekł, ku mojej niewysłowionej uciesze: »Rzeczywiście w takiem miejscu nie spotkamy drugi raz dzików prędko«. Poczem dał rozkaz leśnemu, aby zebrał po drodze idąc przez wieś kilku nagonki i czekał na nas na skrzyżowaniu się drogi z linją, wiodącą do owego małego skrawka gęstych grabowych i bukowych zapustów, poprzeżynanych parowami, zwanego »Rybnem«.

Gdyśmy przybyli na miejsce, słońce miało się już ku zachodowi, a gdy nas leśny wreszcie zaprowadził na tropy dzików, już tylko zorza prześliczna, wróżąca mróz, oświetlała drzemiący snem zimowym las i cały widnokrąg ubrany w śnieżną szatę, na której, zależnie od konfiguracji terenu, rzucała całą grę barw tęczowych. »Ot tu«, mówił do nas leśny, wskazując z pięćdziesiąt kroków od rogu, gdzie się wązka linijka krzyżowała z główną — »weszło dwa duże do miotu, a tam dalej ze dwieście kroków, cztery mniejsze«. «Stawaj tu!« — rzekł brat do mnie, »a ja pójdę na trop tych mniejszych, nagonka, zaraz skoro tylko obejdzie miot, ruszać, bo wieczór na karku«.

Leśny z chłopami poszedł wązką poprzeczną linijką, a ja się odsunąłem nieco od tropu ku tejże linijce, kombinując, że gdyby dziki szły na flankę na tę linijkę, to mogę jeszcze podbiegnąć i strzelić. Zdjąłem z prawej ręki rękawiczkę, nabiłem starą brata Lefoszówkę dwunastkę kulami, a wziąwszy ją pod pachę i schowawszy obnażoną rękę w zanadrze futerka, stanąłem cicho. Po odejściu nagonki i brata na swe stanowisko, cisza zaległa, jak makiem siał, a ja zapatrzony w miot, snułem w wyobraźni wszelkie możliwe wypadki spotkania z dzikami; nie trwała ta cisza jednak długo, bo w 5 do 10 minut po odejściu brata i nagonki usłyszałem nagle chrzęst śniegu i lekki trzask gałęzi młodnika potrącanych ku sobie. Zwróciłem wzrok w tę stronę i owładnęło mną w pierwszej chwili przykre uczucie, gdyż mi się zdawało, że idzie ku mnie wprost z miotu chłop w kożuchu z czarnych baranów na głowę zarzuconym; pomyślałem, że zapewne idzie oznajmić, iż dziki już wyszły, lub wogóle coś niepocieszającego. Gdym się jednak lepiej wpatrzył w tę czarną, zbliżającą się ku mnie, masę, rozpoznałem wyłaniającą się z owego czarnego kożucha nie głowę ludzką, lecz olbrzymi łeb odyńca z połyskującemi szablami. Szedł świńskim truchcikiem, ukośnie w moją stronę, zdążając jednak ku wązkiej linijce.

Dech zaparłem w sobie, wyjąłem zwolna prawą rękę z zanadrza i położyłem ją na ujęciu strzelby. Dzik przystanął nagle na jakie 60 kroków, na połeć przedemną i począł nasłuchiwać. Strzelać w gęstwinę nie uważałem za stosowne, bo kula, zanim by dzika dosięgła, musiałaby pierwej kilkakrotnie strzaskać cienkiego graba, a wreszcie od grubszego pieńka odbić się na bok; przygotowałem się wtedy na pobiegnięcie ku wązkiej linijce, by na tejże dzika strzelić. Ten łotr czarny jednak wymyślił całkiem co innego, bo wyrzuciwszy gwałtownie z gwizda powietrze, zrobił piękny zwrot, jak na mustrze i swym tropem wrócił w miot. Ha! — pomyślałem, jeszcze dziś dzika

---

portjer przed umywalnią. Otworzył mi, a gdy mu powiedziałem, dając znaczek, aby mi przyniósł rzeczy, podobnie jak posługacz na mnie się wypatrzył i bąknął: »To nie moja rzecz! Weź pan sobie posługacza!« i buchnął w fotel. Chodzę, szukam posługacza... nigdzie! Pytam znowu — daremnie!

Wtem nadeszła kobieta — czy pani — czysto po miastowemu ubrana, blada, wątła; zaglądnęła do garderoby, której drzwi otwarte były. »Pan chce te pakunki? mówiła mi dziewczyna!«

— Tak proszę!

»Zaraz! zaraz!« —

Po chwili idzie niosąc się z całym pakunkiem. Walizka była bardzo ciężka, było to nad jej siły i zamotawszy się w dodatku w wiszący przez ramię kocyk, omal nie runęła. Skoczyłem pomódz. Odbierając z jej ręki, rzuciłem okiem w twarz — była jak krwią oblana i brak było tchu, charakterystyczne róże pałały na licu.

»Jakże tak można? proszę — powinna się pani szanować — przecież to rzecz portjera«. »Mój mąż, rzekła cicho — tem się nie trudni...«

»To mąż pani ten w fotelu?«

»Tak jest!...« (C. d. n).

nie zabiję i zazdrościłem bratu spotkania; przypuszczałem bowiem na pewno, że dzik mój złączy się z resztą i wyjdzie na trop małych, przez stanowisko brata. Zrezygnowawszy więc z góry ze strzału, zwróciłem wzrok w stronę brata. Z zachowania się jednak jego niestety zauważyłem, że jemu ani w głowie jeszcze było spodziewać się dzików; zająwszy dopiero co stanowisko, odgarnął sobie nogami śnieg, następnie zaczął odchylać i zaginać gałązki, które mu mogły w strzale przeszkodzić, strzelbę jednak trzymając na ramieniu nienabitą. Znaku akustycznego dać mu oczywiście nie mogłem, a optycznego również, gdyż się w moją stronę zupełnie nie patrzył. Stoję tedy dalej cicho i czekam z rezygnacją na dalsze wypadki. Usprawiedliwić muszę zachowanie się brata tem, że czasu upłynęło niewiele między rozejściem się naszem, a ukazaniem się dzika. Leśny bowiem widocznie nie obchodził miotu, lecz krótką drogą zaszedł z ludźmi wprost na dobrze mu znany barłog dzików i ruszył je natychmiast, zwłaszcza, że te pod wieczór były i tak zapewne już do spaceru gotowe. Zanim też brat zaszedł na swe stanowisko zwolna w wysokim śniegu, dziki już szły na linję. Widzę więc dalej, że brat nagle przestał odchylać gałązki, chwilę nadsłuchuje, chwyta szybko strzelbę, otwiera ją i usiłuje rozpiąć torebkę z ładunkami. W tej chwili, tuż poza nim, przechodzi wolnym galopkiem na kilkanaście kroków przez linję jeden mały dzik, drugi i w takich odstępach kilkusekundowych, trzeci i czwarty. Składa się brat do ostatniego, lecz nie strzeliwszy, odkłada broń od twarzy i machnął z rezygnacją ręką za dzikami. Nie mogłem pojąć takiej niezwykłej kurtoazji ze strony starego myśliwego względem dzików tak blizko przez linję przechodzących, dopiero później dowiedziałem się, że wprawdzie zdołał włożyć naboje i zamknąć strzelbę, ale w pośpiechu kurków nie odwiódł. Widząc dziki bezkarnie przez linję uchodzące, pomyślałem z rozpaczą, że już po spotkaniu, bo mój duży, skoro teraz nie wyszedł, spotka zapewne swego towarzysza i pójdą obydwaj w tył, gdy raz odwrót przedsięwziął i nas na linji zwietrzył. Tu jednak sprawdziło się przysłowie stare na moją korzyść: »niema nic złego, co by na dobre nie wyszło«; bo niefortunne spotkanie brata i milczenie jego strzelby sprawiło to, że drugi duży dzik obrał przecie drogę ku linji na me stanowisko. W tejże bowiem chwili, gdy tamte cztery zniknęły w cieniach miotu na naszemi plecami, ukazała się przedemną znowu takaż sama czarna masa jak pierwszy raz, lecz poruszająca się teraz wprost na linję. Co za rozkoszna chwila! Porównać ją można chyba z tą, gdy się wreszcie po długiej tęsknocie zbliża człowiek do upragnionej kobiety; bo też ślicznie wygląda taki zwierz na tle śniegu i ani na chwilę nie przypomina białej a brudnej jego krewniaczki z chlewa. Wysoki przód z najeżonym grzbietem, duży stosunkowo łeb o małych uszkach ozdobiony białemi szablami i czarnymi ślepkami, wyrzucanie w kłusie przedniemi nogami i efektowny czarny kolor, zlewają się na całość zuchowatą, rycerską. Szedł tedy dzik na jakie czterdzieści kroków odemnie, lecz w chwili gdym przestał, być myśliwym i przyrodnikiem, a zamieniłem się cały w przyrząd do strzelania, stanął tuż przed samą linją za gęstą kępą świerków, czy sośniny tak, że zdawało się, iż mu koniec gwizda widać. Co się wówczas z nerwami działo, może mieć pojęcie tylko ten, kto się w podobnem położeniu znachodził. Szczęściem, nie wytrzymał mię długo w takiem naprężeniu, lecz usłyszawszy, że tamte małe dziczki z chrzęstem i łomotem przekradają się bezkarnie za naszemi plecami, zwróciły bowiem za linją więcej w moją stronę i szły prawie równolegle do linji gąszczami — nabrał odwagi i mój dzik i zrobił skok z gąszczów odrazu pod drugą ścianę linji. Zmierzyłem w łopatkę i strzeliłem, a w chwili gdy dzik wykonywał skok po pierwszym strzale, nerwowo ściągnąłem i drugi cyngiel. Niestety lewka zawiodła i szczęście moje, żem do prawki włożył świeżo zrobiony nabój. Lefoszówka ta dość mi figlów tego rodzaju napłatała, gdyż starszy nabój prawie zawsze zawodził: Po strzale, gdy mi woń prochu nozdrza podrażniła, a kłapnięcie lewki wywarło uczucie nagłej kąpieli w zimnej wodzie i dziki zniknęły w dodatku jak senne widziadło, coś się rozluźniło w moich nerwach do tego stopnia, żem wpadł w rodzaj gorączkowego stanu; krew mi do głowy uderzyła, tętna poczęły walić jak młotem, a do ziemi mię wprost przykuło. Dopiero wyjście leśnego za tropem mego dzika na linję przyprowadził mię do przytomności, a zwłaszcza gdym usłyszał jego monolog: »Ktoś raz strzelił — powiada — głosu nie oddało, to pewnie strzał w dziku«. »A jest tam farba«? pytam. »Ta na linji niema nic proszę panicza«. »No a dalej«? — »A są, są ciapki«. Gdym te słowa pociechy usłyszał, skoczyłem jak oparzony, a włożywszy świeże naboje do luf, pobiegłem oglądnąć »ciapki«. Tuż za linją ujrzałem najpierw kilka kropli farby, a gdym powiódł wzrokiem w gąszcze za kierunkiem tych kropli ujrzałem... o radości! po obydwóch stronach tropu szerokie na piędź wstęgi farby. Pcham się tedy w gąszcze mimo przestrogi brata, żebym powoli szedł, gdyż zaraz blizko leży. Brat bowiem ze swego stanowiska słyszał westchnienie konającego, czego ja, choć bliżej byłem, nie zauważyłem z powodu stanu gorączkowego po strzale. I istotnie; w odległości jakich pięćdziesięciu kroków od miejsca strzału leżał mój pierwszy w życiu strzelany, w alei wyznaczonej własną farbą, już zupełnie martwy, jeno posoka z pianą sączyła się jeszcze wlotem kuli. Kula ekspanzywna weszła za prawą łopatkę, a strzaskawszy lewą wyszła na wylot. Z radości pomagałem nawet chłopom dzika z gąszczu na linję wyciągać, a potem na sanki kłaść, jakkolwiek ta pomoc moja była zbyteczną zupełnie.

Siedząc na dziku wracaliśmy do domu już o zmroku, obydwaj weseli, bo poczciwy braciszek był kontent z mego debiutu w dziczem polowaniu, a swoje niefortunne spotkanie podnosił jako wypadek dla mnie arcykorzystny i tem się pocieszał. Z wrażeń i uciechy ochłonąć nie mogłem, a gdym wreszcie nieco się uspokoił rozpisałem na wszystkie strony świata kartki korespondencyjne z doniesieniem kolegom myśliwym i rodzeństwu o szczęściu, jakie mnie spotkało. Nie mógłbym dziś odpowiedzieć, gdyby mi ktoś zadał pytanie, kiedy czułem się szczęśliwszym, czy w owej chwili, gdym ujrzał pierwszego dzika leżącego bez znaku życia, czy w chwili, gdy mi druga moja połowa pierwszy raz wyszeptała: »Kocham«.

## 2. Psotnica.

Że istnieje bóstwo leśne ku utrapieniu myśliwych, nazwane przez ś. p. hr. Wodzickiego »Psotnicą«, to ja szczególnie w to najmocniej wierzę. Mam w ogóle we wszystkiem tak zwany ordynarnie »pech«, lecz w polowaniu specjalnie opiekuje się mną owa »Psotnica« aż nadto.

Raz, następnej zimy, również w miejscowości T., po niefortunnych kilku miotach i strzelaniu przez zaproszonych gości do dzików, przerzuciliśmy się po śniadaniu

w inną część lasu, a leśny do którego rewir należał oznajmił, iż ma 3 duże dziki, otropione w t. zw. »Płoskiem«. Sytuacja była taka, że musieliśmy stawać nie na linji, lecz na potoku, przerzynającym miot w poprzek, a wychodzącym na łąki wśród lasów. Stawia mię brat na pierwszem stanowisku od łąki, dalej zaproszonych gości i wreszcie na samej górze sam zostaje. »Pierwszy strzał do dzika, a potem wolno rogacza i lisa strzelać» — była zapowiedź. Zaraz, gdy się nagonka odezwała, pada niebawem na lewem skrzydle cztery strzały jeden po drugim. Dziki zatem przeszły, pomyślałem; widzę, że sąsiad na lewo zmienia naboje, a ja postanowiłem zostawić w mojej starej Lefoszówce ładunki z kulami. Wtem za plecami staje bestyjka »Psotnica«, a zaglądnąwszy kokieteryjnie w oczy, poczyna mi szeptać w ucho: »Wyjdą na ciebie dwa lisy i zamiast zrobić dubletę śrutem, spudłujesz kulami obydwa«! A żem wówczas nieźle strzelał, więc żachnąłem się na ów szept, i powiedziałem sobie: »Rogacza strzelę kulą, co zresztą ile możności do dziś czynię, a lisa też potrafię, ale nuż wyjdzie dzik«. Lecz »Psotnica«, jako każda niewiasta, nie daje za wygraną, ale dopóty kusi, aż skusi. Frunąwszy tedy, jak ptak nad ciemnię jaru, w który się wpatrywałem i wskazując palcem, mówi dalej: »Ot patrz, idą dwa lisy jeden za drugim«. Miot długi, poprzeżynany jarami, więc trwa na moje nieszczęście długo i wreszcie miałem czas uledz owej nimfie leśnej; bo i kiedyż człek zdołał nie uledz, nawet i nie leśnej; i wyjmuję ładunki z kulami, a wpycham obydwa ze śrutem nr. 4 do lufy; mówię wyraźnie »wpycham«, bo »Psotnica«, nagląc do szybkiej zmiany ładunków podsunęła mi właśnie takie dwa, które ledwo do lufy zdołałem wtłoczyć. Skoro tylko z trudnością zamknąłem nieszczęsną Lefoszówkę, usłyszałem znany mi dobrze chrzęst i łopot, wywołany pochodem dzika i wprost przed sobą, tam gdzie palec »Psotnicy« wskazywał dwa lisy, spostrzegam olbrzymiego odyńca, zsuwającego się ze stromej uboczy w potok. Stanął chwilę, wylazłszy na przeciwny brzeg płaski, jakby chciał mi dać czas do zmiany naboi. Otwieram strzelbę, próbuję wyjąć ładunki, lecz żaden ani drgnie; ciągnąć za gwoździki przez siłę niebezpiecznie, bo może bieda wypalić i stłuc człowiekowi co najmniej okulary; dzik tymczasem rusza i idzie dalej ku mnie wolnym kroczkiem. Zamykam więc strzelbę i myślę z rezygnacją przypuścić bestję blisko i strzelać za ucho śrutem. Niestety dzik przed wyjściem z pomiędzy drzew na łąkę, nad którą stałem, skręcił odemnie, a doszedłszy do halawy, stanął powtórnie na niej zupełnie odkryty, lecz na śrut za daleko, bo ze 60 kroków odemnie. Otwieram więc znowu strzelbę i już z rozpaczy ciągnę za sztyfty ładunków aż się wykrzywiać zaczynają, niestety daremnie. Dzik stał tak długą chwilę jakby na urągowisko i pokręciwszy wreszcie parę razy ogonkiem, ruszył spacerkiem na otwarte zbocze, przeciwległego miotu. Tak długo i wolno idącego dzika nie widziałem i widzieć nie będę zapewne w życiu i to na odległość na strzał z gładkich luf nawet. Przed wejściem między drzewa, na wierzchu zboczy, przystanął znów na chwilę, a pokręciwszy ogonkiem raz jeszcze na pożegnanie, znikł mi z oczu. A w tej chwili usłyszałem znowu srebrny głosik »Psotnicy«: »Widzisz kpie jak cię łatwo wywieść w pole!« Dopiero teraz ciemno mi się w oczach zrobiło i stałem z otwartą strzelbą na kształt sybilskiej Nioby, a łomot oddalającego się dzika zdawał mi się być szyderczym śmiechem »Psotnicy«... Nowe strzały szybkie lewego skrzydła przywróciły mię dopiero do stanu normalnego. Jak się dowiedziałem później, innym poszło też nie świetnie, bo brat wprawdzie pierwszym razem z trzech sztuk idących na sztych strzelił samurę w czoło, aż jej mózg wyskoczył, odyńca zaś idącego za nią chybił. Podpędził jednak obie sztuki sąsiadowi, który z wdzięczności — dobry bardzo zresztą strzelec — pięknie spudłował. Po tych strzałach zmienili wszyscy kule na śrut. Leśny się omylił co do ilości dzików w miocie, bo po przejściu mego dzika, który był czwartym, jeszcze dwa przyszło do brata, który zapomniawszy, iż włożył śrut w lufy po pierwszych strzałach, urządził im ze sąsiadem do spółki owacyjną kanonadę, oczywiście bezskuteczną.

*Inż. A. Korasiewicz.*

**Strzał z przeszkodami.**

Przed laty, częstym byłem gościem w lasach Bilczy-Wolicy kiedy tam jeszcze polował p. Józef Frenkel, który mnie łaskawie zapraszał. Najczęściej polowaliśmy z psami. Okazałem widocznie »szczęśliwą rękę«, wyleczywszy z długiej choroby żonę p. Muglera, starego myśliwego i zarządcy tamtejszych lasów, kuracja bowiem trwała krótko z pomyślnym rezultatem. To też bywając na polowaniach, spotykałem się z nietajoną życzliwością, w postaci dobrego stanowiska i innych względów. Kiedy osobiste moje szczęście nie dozwalało mi spotykać się z dzikami, martwiło to pana Muglera tak dalece, że raz zaproponował mi, abym, jak myśliwi będą siadać na sanie, się »zahubil a sednou sem z nim, na sani. a pojedem na dika«.

Tak się i stało. Reszta towarzystwa pojechała na linji, a ja, z moim przewodnikiem, na maleńkich saneczkach, podążyłem w innym kierunku. Trzeba znać lasy Bilczy i te ogromne szerokie linje, jak gościńce, ciągnące się całymi kilometrami. Śnieg był po kolana, mróz trzymał tęgi, para dobrych koników, sanie sunęły bez szmeru... Tak trwało całkiem już długi czas, zaczęła mnie ogarniać senność, kiedy stary Mugler kazał zatrzymać konie. Rozbiegane koniki nie zaraz dały się zatrzymać, tak, że nie obeszło się bez głośnego ha-hou-tprrr, a bodajś zdoch! ha-hauuuu... Wreszcie sanie stanęły, nie wiedziałem o co chodzi, *semper medicus*, przypuszczałem, że jakaś naturalna potrzeba spowodowała to zatrzymanie się; o dziku nie myślałem, lecz p. M., zwracając się do mnie i pokazując kopicę siana, o piętnaście kroków stojącą na linji, powiada: »Tade je dik«.

Poprostu nie zdawałem sobie sprawy o co chodzi, ale łamię strzelbę i zakładam naboje kulowe, kiedy ku memu największemu zdziwieniu, kopica siana zaczyna się ruszać, trząść i wyskakuje z pod niej, już nie dzik, ale jakiś potwór apokaliptyczny, coś wręcz niesamowitego.

Mam go o kilkanaście kroków na połeć, zmierzam się i, o dziwo! strzelba nie wypala! W pośpiechu tym zapomniałem kurki odciągnąć! Posłałem mu wprawdzie jeszcze kulę i to jeszcze na odległość taką, że były szanse nawet śmiertelnego strzału, ale trzeba trafić, co mi się tym razem nie udało.

O cóż w gruncie rzeczy chodziło? Niechby był mi stary p. Mugler, na sto kroków przed kopicą siana, powiedział, iż możliwe, że zastaniemy tam dzika, który tam się wylegać lubi; byłbym go sobie »wyregulował,« mając czas przygotować się, a choćby trochę rozprostować ręce, zmarznięte od trzymania futra.

Wszystko tak się fatalnie złożyło; może, żeby nie ta trzęsąca się przedemną kopica siana, może byłbym odru-

chowo odwiódł kurki, a tak, zacne zamiary mego protektora, abym z ręki jego miał dzika, spełzły na niczem. Chciał mi go za blizko podać i to wszystko popsuło. Ot »peresadyu sakramenta« zacny, stary myśliwy. Poczuwał się jednak do obowiązku wdzięczności wobec lekarza, a to nie każdy potrafi.

*Dr. Bronisław Skałkowski.*



TEODOR ROOSEVELT.

# Polowanie na lwy.

Obaj Hills'owie Clifford i Harold utrzymywali strusią farmę. Lwy porywały im od czasu do czasu strusie i cielęta, Hills'owie zaś, płacąc pięknem za nadobne, ubili kilka lwów. Byli to dzielni ludzie, koloniści w najlepszem znaczeniu słowa, podobnie jak ich przodkowie poprzednich trzech generacji. Od pierwszej niemal chwili staliśmy się przyjaciółmi, ponieważ rozumieliśmy się instynktownie wzajemnie; stwierdziliśmy też zupełną zgodność naszych poglądów na najważniejsze zagadnienia życiowe, szczególniej zaś na zagadnienie pracy codziennej, której oddaje się taki osiedleniec-pustelnik. Przypominali mi obaj żywo farmerów i osiedleńców z zachodu, do których odnosiłem się zawsze z pewnem uczuciem duchowej przynależności, i których cele i ideały tak sympatyczne zawsze mi się wydawały.

Parę miesięcy przed mojem przybyciem spotkała Harolda Hill'a dość nieprzyjemna przygoda. Pewnego razu szedł w jasny dzień przez samotne stepy, nie przypuszczając nawet możliwości, iż lwy mogą być w pobliżu i nie miał broni. Na parę mil za domem, spostrzegł w pewnej chwili trzy lwy przed sobą, które go groźnie śledziły oczyma — w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Przypadkiem był wówczas na miejscu, porośniętem dość wysoką trawą, a lwy zawsze są bardzo odważne, gdy mogą jako tako kryć się na terenie; natomiast na miejscach odsłoniętych są bardzo przezorne, nadto zaś były czemś rozdrażnione. Hill przystanął, obrócił się zwolna i skierował się wprost ku domowi. Lwy nie spuszczały go z swych ślepiów, a gdy je minął, powstały i poczęły posuwać się za nim. Nie byli to przyjemni towarzysze, pośpiech jednakże mógł się stać niebezpieczny. Szedł więc wolno wzdłuż drogi, obserwując uważnie przez całą milę brunatne łby bestji, które obok niego lub trochę za nim pełzły w spalonych od słońca trawach. Wreszcie doszedł do nizkiej trawy, na której lwy zatrzymały się, odprowadzając go jednak wzrokiem — póki nie znikł za pagórkiem.

Cały kraj, któryśmy przechodzili, wskazywał, że panem jest tu lew, a państwo jego srogie. Lwów na ogół było dużo, gdyż i ilość zwierzyny, która je przywabiała, była niezmierna. Gdy się nadarzyła sposobność porywały strusie albo cielęta kolonistów, albo szerzyły spustoszenia pomiędzy bydłem i trzodą tubylców — nie działo się to jednak zbyt często; ulubionego żeru dostarczały im bowiem stada *kongoni* i zeber, w których mogły bezkarnie grasować. W dalszym ciągu przekonaliśmy się, że w tej okolicy rzadko tylko atakowały bawoły, w tych samych nawet okrajach żerujących, jakkolwiek z przyzwyczajenia za nimi się wlokły. Tam bowiem, gdzie mogły łatwo i skutecznie dobierać się do zeber i antylop, nie opłacał się im prawdopodobnie trud polowania na tak niebezpieczną zdobycz. Każda niemal sztuka padliny, którąśmy spotkali, była *kongoni* lub zebrą; natknąłem się przynajmniej na pięćdziesiąt takich kadawrów. Jeden z nich, pochodzący z zebry, leżący zaledwie ośmnaście godzin (po upływie tego czasu sępy i marabuty, aby nie wspominać o szakalach i hjenach — pozostawiają już tylko same kości) wyraźnie mówił o tem co zaszło. Kości były w porządku, a skóra na goleniach i na głowie nie była naruszona. Zwierzę miało połamane nogi i leżało na brzuchu, a kręgi szyjne były pogruchotane; widocznie więc lew skoczył wprost na zebrę, przygniótł ją swoim ciężarem, druzgocąc równocześnie szyję, nogi popękały, gdy ciało ugięło się pod ciężarem lwa. Świeży trup *kongoni* nie miał na gardle żadnych obrażeń, ale szyja była zdruzgotana, a na pysku i głowie były widoczne ślady szponów. W tym wypadku lew atakował z ziemi, opierając się na tylnych łapach, podczas gdy przedniemi porwał łeb *kongoni* i trzymał go wraz z szyją, póki jej nie zgruchotał.

Pierwsze nasze usiłowania spotkania się z lwem, były naturalnie daremne; kryjówki, któreśmy przeszukali, były albo puste, albo też, gdy trafiliśmy na zamieszkałą, nie udało się nam wyparować lwa, szczególniej, jeśli to było w trudniej dostępnych górach lub na bagnach; lew bowiem niechętnie wychodzi na czyste. Sir Alfred znał jednak kierunek, w jakim iść należało, aby się z lwem spotkać, uparł się, że lwa nam pokaże — i istotnie dokazał swego.

Pewnego dnia opuściliśmy naszą sadybę wczesnym rankiem, z postanowieniem poświęcenia całego dnia polowaniu na lwy. Oprócz Kermita, wzięli w wyprawie udział jako goście Medlicott i gospodarz wraz z żoną i córką; podczas śniadania, które spożywaliśmy na wierzchołku kamienistego wzgórza w cieniu figi, przybył do nas Percival; przyszedł z psem buldogiem i z »chłopcem« Masai, przyzwoitym i dzielnie wyglądającym dzikim, z pięknie przystrojoną głową i znanym nam już oszczepem; pan, sługa i pies zachowywali się, jakby każdą wogóle przygodę z lwem uważali za zabawkę.

Po śniadaniu rozpoczęliśmy buszować tak zw. dongę, czyli wyschnięto koryto rzeki -- czy też jak mówią w prerjach — potoku. Koryto o nizkich i kamienistych brzegach wiło się w tę i ową stronę licznymi zakrętami, a tu i owdzie były partje zarośli, w których kryć się mogła wszelka możliwa zwierzyna: lwy, hjeny albo dzikie psy. Postępowaliśmy ostrożnie oboma brzegami dongi, prowadząc blizko za sobą konie, abyśmy mogli ich dosiąść natychmiast na wypadek pudła do lwa i ścigać go na otwartym stepie. Psy — bo oprócz małego buldoga mieliśmy silnego psa, zawołaniem Ben, który był bardziej odważny, niżby się tego po jego wyglądzie spodziewać było można — zaczęły okazywać, że zwietrzyły lwa, a my przeszukiwaliśmy każdy krzak. Czarni krzyczeli i rzucali w nie kamieniami, a my staliśmy gotowi do strzału w miejscach, w którychby był najdogodniejszym. Po kilkakrotnem zacinaniu na ślepo, zwróciły się psy z najeżoną sierścią do gęstwiny, okazując tak żywe podniecenie, że było widocznem, iż jest w niej coś grubszego. Po chwili

poczęli krzyczeć naganiacze »simba« (lew) i wskazywali palcami. Było to po drugiej stronie koryta, które w tem miejscu było jakie cztery metry szerokie, a cztery stopy głębokie; zmieniłem moje stanowisko i śledziłem parę sekund zarośla, aż wreszcie zobaczyłem kawałek żółto-brunatnej skóry. Gdy się »to« poruszyło, poczęto mnie wołaniem naglić do strzału, bo jeśli lew rzuci się do ucieczki, to wobec małego oddalenia nie byłoby czasu na odparcie jego ataku — strzeliłem więc w to, co widziałem. W krzakach zakotłowalo, a Kermit począł uciekać; w tej samej chwili z krzaku — zamiast spodziewanego lwa wyskoczyły dwa mieszańce psa i wilka wielkości buldoga. Obie sztuki były silnie zranione, lecz pozwoliliśmy im uciec; gdyby bowiem nawet nie były postrzelone, jednak były za wielkie żeby się dały żywcem schwytać.

Rozczarowanie było naturalnie niemiłe, a ponieważ było już późno po południu, okolice zaś dość puste, przypuszczaliśmy, że dzień ten nie przyniesie nam żadnego spotkania. Odwrót zaproponował Parcivall, który mając pieszo powracać, liczył się z dość znaczną odległością do domu, my zaś przystaliśmy na jego propozycję. Alfred milczał, z czego można było wnioskować, że ma jeszcze jakiś plan. Istotnie też — po kilkunastu minutach pochodu, puścił się ostro na lewo, a za jego przykładem podążyliśmy wszyscy, zostawiając niosących broń i inną służbę.

Celem tej nagłej galopady, było niedalekie łożysko wyschłego potoku, wijące się pomiędzy zaroślami. Skorośmy do niego dotarli, nasz przewodnik odkrył natychmiast trop dwu potężnych lwów, wobec czego zsiedliśmy z koni, podchodząc z wytężoną uwagą w kierunku zarośli.

Niestety ani krzyki, ani rzucanie kamieniami, nie wypłoszyło »nikogo« z zarośli, a tensam wynik przypadł nam w udziale przy przeszukiwaniu następnej grupy krzaków. Wsiadłszy na koń, udaliśmy się do następnej grupy.

Co do mnie, jechałem wolno na spokojnym i silnym kasztanie.

Z tej strony łożyska, po której jechaliśmy, płosząc przypuszczalną zwierzynę okrzykami, rosła duża kępa krzaków. Z niej też doleciała nas niebawem mocna odpowiedź, w postaci przeraźliwego ryku. W tej chwili zpieszyliśmy się; lejce zarzuciłem mojemu podjezdkowi na szyję, który poważnie i spokojnie jął szczypać trawę, nie elektryzując się bynajmniej rykiem lwa.

Zająwszy stanowisko z boku od miejsca, z którego wydobywał się ryk, czekałem w niepewności, czy lwy wyjdą na oko na 10 metrów od nas, czy też obiorą ucieczkę. Na szczęście wolały swój los powierzyć tej drugiej ewentualności, niebawem też zobaczyłem na 30 metrów uciekającego, ogromnego lwa. Strzeliłem i skutecznie, raniąc zwierzę w bok. Po strzale lew naznaczył tak potężnym susem, że, strzelając w tej chwili drugi raz, spudłowałem, poprawiając jednak trzecią kulą, przebiłem mu piersi. Ten trzeci strzał, dosięgnął go już na 60 m., w tej więc odległości nie widziałem już dokładnie skutku pocisku. W każdym razie lew ryczał groźnie i zabierał się do powrotu ku nam, a choć był silnie raniony, powrót taki mógł być mimo to bardzo niebezpieczny. Dlatego też Kermit, Alfred i ja strzeliliśmy jeszcze raz prawie jednocześnie — tak dalece podobnemi były nasze przypuszczenia — celując w pierś. Po tej kanonadzie lew runął martwy.

Drugi lew, który wyskoczył z prawej strony zarośli, poszedł bez postrzału, bo go spudłowano. Próba poprawienia na 600—800 m. była również bezowocna, bo widzieliśmy lwa pomykającego przez step. Pozostawała więc próba ostatnia, a mianowicie konnego pościgu. Równina, na której lwa można było obserwować, sięgała zaledwie trzy ćwierci mili, zamykała się zaś wzgórzem, za którem zwierz znikł nam z oczu, zanim do niego zdołaliśmy dopaść. (C. d. n.).



WŁADYSŁAW GARAPICH.

# Heca.

Jest to foxterierka po Tiku od Korby, z którą niejedną miałem hecę na lisich jamach, a ponieważ miałem wypadki, które nie zgadzają się wcale z naturą i przebiegłością lisią, dzielę się nimi, pozostawiając każdemu dowolną umiejętną krytykę nieumiejętnego piśmidła.

Heca jest o tyle nieocenioną towarzyszką myśliwską, że bez współudziału psiego towarzysza, sama jedna każdego lisa wygryzie z jamy, (dotąd z wyjątkiem jednego i to prawdopodobnie zgrzybiałego staruszka, gdyż na tegoż jamach nabawiła się wyrzutu, a lisa z jamy nie wypłoszyła); jest zupełnie wiarygodna, gdyż do niezamieszkałych jam nawet nie zaglądnie, a od zamieszkałej nie da się oderwać i nie trzymana na smyczy nie daje za wygraną, lecz z znacznej odległości wraca do jamy, aż postawi na swojem.

Pierwszym jej debiutem było znaczne pocięcie przez borsuka, drugim chybny strzał do lisa przeskakującego z jamy do jamy, zatem fatalny początek. Nie zrażona od tego czasu już kilkanaście lisów wygoniła, mimo, że ma lat dopiero $2^1/_2$.

Chcę wypadki przytoczyć, w których lis wyżarty z jamy, strzelany, po raz drugi z całą świadomością niebezpieczeństwa musiał przed ciętością suczki zmykać w świat i przepłacić nieostrożność życiem.

W Tyśmieniczanach, będąc wraz z moją żoną w lesie, a mając nieodstępnych towarzyszy psa legawego, Hecę i strzelbę, zaglądam w lisie jamy — jamy z niezliczonemi otworami, szerokie rezydencje lisów i borsuków. Heca zdaleka rwie się do jam, odrazu zajadle głosi — pewny lis. Po krótkiej chwili oczekiwania czuję szturknięcie i widzę, jak moja żona pokazuje lisa, wysuwającego głowę z jamy i patrzącego ze zrozumiałem niedowierzaniem na nas. Stoimy, wstrzymując nawet ruch rzęs, jednak lis cofa się do jamy. Z palcem na cynglu czekam i słyszę jak Heca delektuje się nad szynkami lisiemi czy też kitą. Lis po raz który wysuwa się, nie zdradzając najmniejszej ochoty do dalszej wędrówki — jednak nie ma rady; kita droga, a ucieczka, mimo wszystko, możliwa. Wyjeżdża jak z procy z jamy do jamy, tak fatalnie, że pomimo 2 błyskawicznych strzałów, zostawia tylko trochę farby i futerka i znaki w najbliższym otworze. Heca za nim, a obszukawszy

wszystkie otwory, by swym zwyczajem brać lisa z tyłu, po niespełna 10 minutach ma sposobność mścić się na ubitym mykitą. Był to tensam lis, postrzelony wpierw w zad, i pomimo bardzo rozległych kryjówek 3 razy wyłaził z jam.

Przed wilją 1910 r. jedziemy do Przybyłowa, a ponieważ Heca otrzymała specjalne zaproszenie, wraz z nią. Mamy zaraz następnego dnia po przyjeździe wybrać się na jamy, a Heca ma pokazać, co umie. Dzień mglisty, odwilż. Biorę parę ładunków do kieszeni i Hecę — lecz, o zgrozo nie mniej jak 6 osób płci obojga, bez strzelb, ze strzelbami, trzylufkami, nawet jeden mauser, zgłasza się do uczestnictwa w ekspedycji. Załamuję ręce, błagam, przedstawiam, przedkładam grozę niebezpieczeństwa krzyżowych strzałów do lisa, wyjeżdżającego z jamy, widzę już nieuniknione opatrunki, skutki postrzałów — frustra — wszyscy jadą.

Jamy obszerne w czystem polu — jeszcze pół biedy. Rozstawiam uczestników w około jam, myszby się nie wydostała. Mróz bierze, nogi i nóżki zaczynają tupać celem rozgrzania się; prowadzimy ożywioną konwersację; drugi miejscowy foxterier, przyrodni brat Hecy, z angielską flegmą zwinięty w kłębek, śni o drzwiach do spiżarni, o kominie z wędzonkami, a Heca tymczasem gra, jak kapela wojskowa. Stoimy tak 2½ godziny, ja tylko czekam na chwilę, by Heca wyszła, aby ją złapać i wracać do domu — nareszcie mi się to udaje. Ryzykując popsucie reputacji Hecy, proponuję powrót, motywując, że lis zaszczycony tak liczną wizytą, dla samej gościnności nie może opuścić mieszkania, tem bardziej, że nie daj Boże, może strzelba wypalić przypadkiem i nuż właśnie w niego. Oddaję Hecę, oglądającą się z żalem za jamkami, gajowemu, gdyż i on jako 7-my był z ryskalem i dżaganami i podążamy tłumnie do fur. Po kilkuset krokach każę Hecę puścić, by się w śniegu wytarzała, ona jednak nie ma nic spieszniejszego do zrobienia, jak wrócić na jamy. Nolens volens podążam za nią, gdy od gajowego odbieram odpowiedniego szturchańca i widzę jego skamieniałą minę, pokazującego lisa w chwili, jak się przeszwarcowuje z jednej jamy do drugiej. Łapię za pierwszą strzelbę z brzegu i spieszę na jamy, aby ledwie zdążyć fatalnle spudłować starego lisiurę, który pod naparciem suczki zmienia znowu strategicznie pozycję i wraca do pierwszej jamy. Teraz to w długiej linji wraca całe towarzystwo, aby uczestniczyć w dalszym ciągu w łowach. Nie trwało jednak długo, gdy lis wreszcie, znudzony tak wytrwałem oblężeniem, niepewny wyłazi z najodleglejszej jamy — na czystem polu i wybiera się w świat. Kula mauserowska w szyję przeszkodziła mu raz na zawsze w przedsięwziętej wędrówce.

Nota bene w 2 dniach dostarczyła Heca 5 lisów, z których 4 znalazło się na rozkładzie.

Wyż wymienione wypadki przytaczam, albowiem dotąd słyszałem, że lis, raz na jamach strzelany, conajmniej nie tak prędko da się drugi raz wygryźć, gdyż jest, co Niemiec mówi »vergrämt« — lecz być może, że w naszem stuleciu z nową ustawą łowiecką i lisy zmieniły zapatrywania. Pisząc panegiryk Hecy nadmienię jeszcze, że w zeszłym roku ubiłem przed nią 3 słonki, gdy głosem za niemi goniła.

# Korespondencje.

Kamienna w bocheńskiem, dnia 15. maja.

Dnia 28. marca, jeden z moich leśnych, który jest zarazem moim wielkim łowczym, przyniósł słonkę, oznajmiając, iż od wczoraj zaczęły ciągnąć. Zaraz robię przegląd ładunków, postanawiając iść na ciąg — ale ponieważ wszystko lubię robić w towarzystwie, więc proszę mą córkę, żeby mi towarzyszyła. Chętnie na to przystaje, gdyż po ładnym dniu zapowiadał się piękny wieczór — ale niech nikt nie myśli, że miała iść ze strzelbą, to nie, bo chociaż na wszelki wypadek nauczyłem ją obchodzić się z bronią i strzelać, to jestem przeciwny, by kobieta polowała i zabijała, bo ona jest raczej stworzona do dawania życia, a nie do odbierania go. Jej celem powinno być hodowanie dzieci, pielęgnowanie męża i pilnowanie domowego ogniska. Niech kobiety nie wzorują się na Djanie, bo wiedząc, jacy uwodziciele i nicponie byli bogowie greccy, i jakie niemoralne ich boginie, jestem przekonany, że ona tylko pod pretekstem łowów, latała po borach i kniejach, by miewać schadzki miłosne z rozmaitymi bogami, faunami i tym podobnymi urwipołciami. Ja muszę się otwarcie przyznać, że nie lubię z kobietami ani grać w karty, ani polować; bo w karty grają za nerwowo, zapalają się, a gdy przegrywają to się nawet obrażają. Gdym pewnej pani w preferansie zakontrował na ośm karo, i położyłem ją bez trzech, bardzo się o to rozgniewała i powiedziała mi, że tak dużej wpadniętej się nie płaci... Gdybym zaś na stanowisku miał obok siebie dwie piękne Nemrodki, to wielkąby mi dystrakcję robiły, więcej bym na ich wdzięki zwracał uwagi, jak na zwierzynę, która ma wyjść z kniei. Pudłowałbym na pewne, albo wcale nie strzelał, bojąc się, by mi która nie zarzuciła, że jej z pod nosa zabijam... Lubię bardzo kobiety, bo któżby ich nie lubiał!?.. ale najbardziej w salonach i buduarach.

Będąc urodzonym w końcu pierwszej połowy dziewiętnastego wieku i robiąc swe pierwsze kroki myśliwskie pod dyrektywą starego leśniczego mego ojca, imci pana Radomskiego, szaraczkowego szlachcica, który znowu urodzony był z końcem ośmnastego wieku, wpoiłem w siebie wszystkie przesądy, gusta i zabobony myśliwskie, jakie w niego zostały wpojone przez jeszcze wcześniej urodzonych myśliwych, do których ja już nie sięgam, bojąc się bym nie doszedł do czasów przedpotopowych. Zostało mi wpojone: że wychodząc na polowanie nie dobrze jest, żeby kto życzył szczęścia, żeby wrona krakała, żeby zając przez drogę przeleciał, (mówiąc nawiasem niema o to strachu w mojej okolicy), żeby stara baba, szczególnie z próżnemi konewkami, przeszła drogę, żeby spotkać dziada lub kwestarza. Przy tych wszystkich spotkaniach, dla odczynienia czarów, trzeba trzy razy na boki splunąć, a gdy się jedzie wózkiem, wyrzucić za siebie słomkę. Dobrze zaś jest, gdy sroka wesoło zaskrzeczy, gdy psy z radości się tarzają, gdy strzelba o strzelbę drugiego myśliwego trąci, gdy się spotka żyda lub złodzieja, o których nie trudno, szczególnie blizko dworu. Ale najlepiej jest i największe przynosi szczęście, gdy się spotka młodą i ładną dziewczynę, a gdyby jeszcze w dodatku ujrzało się przypadkiem jej kolanko, to drzyjcie lisy i piszcie testamenty zające!

Otóż, ledwo wyszliśmy za ogród, a już spotkaliśmy dobrze nam znanego dworskiego złodzieja, a potem piękną Hanusię. Zaraz sobie pomyślałem, że będzie szczęście. Chociaż zawczasu wyszliśmy, by iść powoli, to i tak

sapałem pod górę, jak lokomotywa ciężarowego pociągu. Próbowałem już nieraz jeździć na kucce, ale ponieważ na dużych kamieniach się potykała, a z powrotem, po ciemku, na wązkich drogach, moje oczy przed gałęziami były w wielkiem niebezpieczeństwie, więc odrzekłem się takiej jazdy. Sapiąc, rozmyślałem sobie, jakby to dobrze było, wyjść na górę bez takich wielkich trudów.

Wchodzimy nareszcie po krętej ścieżce na porębę, gdzie wyżej mamy się zatrzymać. Horyzont zaczyna nam się rozprzestrzeniać. Widzimy okolicę Krakowa z kopcem Kościuszki i Bielanami jak na dłoni. Na wszystkie strony okazują się nam góry w granatowem świetle, a na czubkach ich bieli się śnieg, jak na głowach cukru z wierzchu odkrytych. Na zachód widzimy wspaniałą swemi rozmiarami Babią górę, otoczoną większemi i mniejszemi górami, jakby matrona małemi dziećmi. Na północ dolina Wisły z okolicą Racławic. Na wschód widzimy okolicę Tarnowa z dominującą Lisią górą, gdzie w roku 1846 chłopi wymordowali zebraną tam szlachtę. Dalej hen, hen, na wschód, widzimy prawie po sam Lwów. Słowem, kraju który ogarniamy wzrokiem, ani by za kilka miljardów nie kupił!... Gdyby się dziś zjawił jaki starej daty, hojny djabeł, nie taki, jak dzisiejsze, co są biedne i skąpe, i wyprowadził choćby największego purytanina na moją górę, i obiecał mu, że da to wszystko co okiem zobaczy, by tylko popełnił jaką niemoralność, nie wątpię, żeby go skusił, i otrzymał cyrograf krwią podpisany na jego duszę

Nareszcie stajemy na miejscu, które mój wielki łowczy wskazuje, jako najlepsze na ciąg słonek. Zasiadam wygodnie na pniaku i z zadowoleniem zapalam papierosa, córka zaś zbiera kwiaty, z czego robi ładny bukiet. Wtem przeciągnęło stado dzikich gęsi, ale za wysoko, by do nich strzelać. Przypomniało mi się nietrafne przysłowie, które do młodych dziewcząt stosują, mówiąc: »głupia jak gęś«, lub »głupia gąska«. O! gdyby młode dziewczęta choć w połowie miały tyle rozumu co dzikie gęsi! Mówię to z doświadczenia, bo będąc młodym chłopcem, często przebywałem u mego wuja, gdzie nad Wisłoką, szczególnie na jesień, mnóstwo dzikich gęsi przeciągało, i zasiadało na oziminach. Ile ja to razy je podchodziłem, ile razy okryty szarą płachtą czaiłem się na nie wieczorem, ale zawsze na próżno; raz tylko udało mi się podjechać cztery na wózku na jakie pięćdziesiąt kroków; wystrzeliłem do nich dwa razy i widocznie jedną postrzeliłem, lecz miała jeszcze tyle siły, że przeleciała na drugą stronę Wisłoki — jest bowiem wiadomą rzeczą, że gęś jest bardzo twarda do zabicia, jeżeli się jej nie trafi w szyję, to nigdy na miejscu nie zostanie. Ostrożniejsze od nich, są tylko żurawie i dropie, na które też w poznańskiem polowałem, ale zawsze bez skutku, bo na odległość strzału śrutem, nigdy ich nie zaszedłem. Dzisiaj dopiero, gdy sztućce z lunetami są tak wydoskonalone, że można na czterysta kroków trafić w centrum, jest możebne na nie polowanie.

Słońce zachodzi, niebo czerwieniejąc, zapowiada pogodę na dzień następny. Odzywają się jeszcze ostatnie tony drozda, któremi żegna kończący się dzień. Nareszcię zmierzch się robi i zbliża się chwila ciągu słonek. Usadzam córkę obok siebie na pniaku i każę jej bacznie ku południowej stronie patrzeć, a gdy spostrzeże lecącą słonkę żeby zawołała: pilnuj!... Ja zaś odwracam się ku zachodniej stronie, skąd dziewięćdziesiąt na sto nadciąga. Jeszcze jest dość jasno, a już bez gwizdnięcia i chrapania, dwie na leśnego ciągną, który stoi o kilkadziesiąt kroków powyżej mnie. Strzelił do obydwóch, ale jedną tylko zabił. Teraz ja spostrzegam wprost na mnie ciągnącą, przepuszczam ją i po za siebie strzelam; spadła. Mój Bekas ją opatruje, tymczasem dwie jeszcze nadciągają, ale ja tylko strzelam do jednej i chybiam. Czekaliśmy jeszcze z dziesięć minut, ale żadna już nie nadciągnęła. Tymczasem zrobiło się bardzo ciemno. Leśny przychodzi do nas, i zabieramy się do powrotu. Idąc z góry »jak z pieca na łeb« nogi mi się trzęsą jak galareta, a laską muszę macać przed sobą drogę, jak niewidomy dziad, idący na odpust. Jeszcze kilka dni chodziliśmy z leśnym, i zawsze widywaliśmy dość słonek, ale czwartego kwietnia, spadł duży śnieg i zaczęły się mrozy do 4 stopni. Oczywiście, o ciągu słonek nie było i mowy. Dopiero trzynastego kwietnia zrobiło się ciepło; wtenczas wraz z moimi trzema synami i bratankiem, którzy się na święta zjechali, wyruszyliśmy wesoło do lasu. Podczas zmierzchu, prawie jednocześnie na wszystkich stanowiskach, odezwały się strzały. Tyle się naraz słonek pokazało, że myślałby kto, że i one są tak rozpolitykowane jak my, i lecą gdzie na sejmik relacyjny lub na zgromadzenie przedwyborcze. Taki piękny ciąg, że gdyby sam Mikado zobaczył, pewnie podrygiwałby z radości!... W rezultacie, podczas wiosny, padło czternaście słonek, a mogło być zastrzelonych trzy razy tyle. Jeżeli się dobrze wylęgną, to na jesień będzie ich bardzo dużo.

A teraz kończąc moje sprawozdanie, boję się, żeby szanowni koledzy myśliwi, nie zarzucili mi, żem pisał jakieś trzy po trzy, koszałki opałki, o bożkach, djabłach i głupich gąskach, a w rezultacie zabitych słonek bardzo mało. Przyrzekam zatem, że się na drugi raz poprawię i będę lakoniczniej pisał, lub milczał jak ryba.

*Józef Ożegalski*
delegat.



# Kronika.

**Zaraza pyskowo-racicowa u sarn.** W Brunszwiku wybuchła ta choroba u sarn i to o charakterze bardzo złośliwym. Nie pomagają żadne zarządzenia, mające na celu opanowanie tej zarazy. Powód do jej rozszerzenia wśród sarn dał jeden z właścicieli ziemskich, wywożąc obornik z zarażonych stajen w pole i nie przeorując go natychmiast. Zaraza ta już kilka razy ustawała, lecz tylko po to, by tem gwałtowniej napowrót wybuchnąć. Obecnie jak donoszą, „*Braunschw. Neueste Nachrichten*“ szaleje w rewirach Cremlingen, Destedt i Sickte.

**Wyścigi psów.** Corocznie odbywają się w Anglji od września do marca wielkie wyścigi psów, zakończone wyścigami chartów, tych, jak wiadomo. najszybszych zwierząt na świecie. W marcu walczą one o prym szybkości. Pierwszy zwycięzca otrzymuje premię w sumie 12.000 koron, drugi w sumie 4.500 koron, inni również niezgorszą kwotę w łącznej sumie 36.000 koron. Ilość hodowców psów wyścigowych jest w Anglji wobec tego znaczna, jakkolwiek wymaga utrzymanie stajni znacznych wydatków. Stajnia 100—150 psów, z których corocznie 20—30 staje u mety, kosztuje 36.000—100.000 koron, nielicząc kosztów prze-

wozu i innych ubocznych opłat. Doprowadzili też Anglicy do bajecznych iście rezultatów na polu szybkości chartów. Dobry pies przebiega w sekundzie 18—20 metrów, w ciągu godziny więc niespełna 70 kilometrów, podczas gdy koń wyścigowy biegnie przeciętnie z szybkością 16 metrów na sekundę, czyli 60 kilometrów na godzinę. Słynny chart »Monarcha« przeleciał w pościgu za zającem nie mniej jak 11 kilometrów w 9 minutach i 20 sekundach. Czasopismo »*Je sais tout*« opowiada o okazie, który zapomniany na dworcu przez swojego pana popędził za pociągiem i dopadł go w następnej stacji. Kolejowi urzędnicy zatrzymali psa, lecz wierne zwierzę wyrwało się i poleciało dalej. Gdy pan jego wysiadł na trzeciej stacji, ujrzał w kilka minut później u swych stóp zdyszanego charta.

Wyścigi psów mają tę dodatnią stronę, iż właściciele ich pielęgnują je i otaczają troskliwą opieką, a całe zastępy służby i domowników uczą się przytem ludzkiego obchodzenia z zwierzętami.

## Zapiski literackie.

**Ziemia,** tygodnik krajoznawczy ilustrowany, wychodzący w Warszawie pomieścił, w bieżącym miesiącu pomiędzy innemi, pracę W. Szukiewicza p. t. »Dawne lasy królewskie na Litwie«.

Puszcza w dawnej Litwie była główną żywicielką ludności tubylczej. Ona dostarczała przedewszystkiem ogromnej ilości zwierzyny, królowi, wojsku i każdemu, kto władał bronią. Skóry zwierząt mnogo ubijanych przedstawiały ważny przedmiot wywozu za granicę, obok słynnego litewskiego miodu, a starodrzew litewski był zawsze wysoko ceniony, jako niezrównanej dobroci materjał do budowy okrętów. Nadto dostarczała puszcza grzybów, jagód i owoców, z których wyrabiano napój, nic więc dziwnego, że Litwin przedchrześcijański miał dla puszcz swoich cześć niemal boską, co okazywał, składając ofiary u podnóża najstarszych i najokazalszych drzew, zwłaszcza dębów, które w jego mniemaniu uosobiały siłę potężniejszą nad burze i gromy. Ślady takiego ubóstwiania przetrwały do dziś dnia w zwyczaju umieszczania kapliczek z wyobrażeniem świętych na wyróżniających się swoim ogromem drzewach.

Olbrzymia przestrzeń ówczesnych puszcz kurczyła się powoli pod wpływem rozrostu ludności, tem bardziej, że granic puszczy nikt nie strzegł. Dopiero Zygmunt August ujął prawa zwyczajowe w ustawę, wydaną dnia 1. kwietnia roku 1557. pod tyt. »Ustawa na wołoki Jeho Korolewskoje Miłosti w Wielikem Kniastwie Litowskim« i t. d. Ustawa ta zabrania oddawania różnych pożytków w lasach, jak: sianożęcia, rybołostwa, barci i t. d. komu innemu niż kmieciom królewskim, a również rębaniu drzewa nie mają, wyłącznie na swoją potrzebę, nie zaś na sprzedaż.

Po ogłoszeniu tej ustawy król polecił Grzegorzowi Bohdanowiczowi Wołłowiczowi, staroście mścibowskiemu, zrewidować wszystkie puszcze królewskie w W. Księstwie litewskiem, porobić ich plany i opisy. Polecenie to wypełniono w roku 1559. i przedstawiono królowi sprawozdanie p. t. »Rejestr spisania i wywiedania puszcz i pierechodów zwierzynnych w państwie Jeho korolewskiej Miłosti Wielikim Kniastwie litowskim« i t. d.

Następnie Władysław IV., w r. 1635. polecił ustalić granice lasów W. Ks. litewskiego, porozdzielać je na leśnictwa, kwartały i ostępy, zaprowadzić porządek w służbie leśnej itd. Pracy tej dokonali komisarze królewscy: Piotr Dalmat Izajkowski, ksiądz Jan Pac i Krzysztof Białozor i w roku 1641. przedłożyli rezultat jej królowi, w sprawozdaniu p. t. »Ordinatija puszcz i. k. m. W. X. L. w leśnictwach niżej opisanych, w uniwersale y w instrukcii i. k. m. ich mościom p. p. comissarzom daney liquidowanych« i t. d.

Oba te cenne dokumenty, niestety bez planów, które zaginęły, wydano staraniem i kosztem wileńskiej komisji archeograficznej w roku 1867 i 1871.

Opisy Wołłowicza podają wiadomość o 39 puszczach, na całej przestrzeni kraju od Dniepru i Kijowa po Niemen i Bałtyk, ordynacja z roku 1641. wymienia już tylko 21 puszcz, podzielonych na 11 leśnictw, z tych każde na kwartały, których było 29, a te na ostępy w liczbie 447.

Na podstawie cyfr, podanych w rejestrze Wołłowicza, przypuścić można, że ogólna powierzchnia lasów królewskich na Litwie wynosić mogła 700—800 mil kwadratowych, z ordynacji zaś Izajkowskiego, ułożonej w niespełna 100 lat później, wynika przypuszczalna cyfra 580 mil kwadratowych. Jeżeli uwzględnimy olbrzymie lasy magnackie i szlacheckie, to obszar lasów w kraju nadniemieńskim mógł liczyć tysiące mil kwadratowych.

Puszcze królewskie w owych czasach ustawicznie były narażone na grabieże; tak n. p. Wołłowicz wspomina, że z puszczy Przełomskiej kniaź Andrzej Wiśniowfecki zabrał las »wzdołż na milu, a wpapierok na pół mili«. Przy każdej puszczy notowane są takie sprawy.

»Ordinatia« miała na celu uporządkowanie i podział lasów na leśnictwa, kwartały i ostępy, określano też ściśle prawa »wstępu«.

Wszystko to wykonano przeważnie ze względu na łowiectwo. — Personal służbowy składał się w każdej puszczy z leśniczego, który zdawał sprawę z czynności swoich jedynie przed królem, starszych osaczników, inaczej zwanych dziesiętnikami, oraz ze zwyczajnej straży leśnej, czyli tak zw. osaczników; oprócz tego zorganizowana była osobna drużyna łowiecka, złożona z »myśliwca«, jednego na leśnictwo, oraz strzelców. Pensji w pieniądzach nie pobierano, lecz tylko pożytki z gruntów królewskich.

Inne szczegóły n. p. co do gatunków drzew, rosnących w puszczach, są niestety bardzo skąpe, dowiadujemy się tylko, że przeważały tu lasy t. z. »czarne« t. j. świerkowe i mieszane, że w lasach pędzono smołę, palono potaż, wyrabiano belki i t. p., tylko o wysokości produkcji niema najmniejszej wzmianki. Co do zwierzostanu, to znajdujemy tylko wzmianki o żubrach i bobrach. Do łowienia bobrów wyznaczeni wyznaczeni byli specjalni ludzie, t. z. bobrownicy, którzy mieli po włóce gruntu. Ci byli obowiązani złowione bobry oddawać do dworu, a gdyby którego roku nie oddali, obowiązani byli płacić pewne grzywny.

## Od Redakcji.

*W. Panu Hipolitowi Neumannowi* wyrażamy szczere podziękowanie za nadesłane sprawozdanie, które zamieścimy w najbliższym numerze »Łowca«.

## Sprostowania.

W spisie członków naszego Towarzystwa prosimy
*a)* oznaczyć gwiazdką delegata następujące nazwiska:
Chrzanowski Bronisław.
Gürtler Władysław.
Jełowicki Aleksander.
Kumor Stanisław.
Kowalski Stanisław, Łańcut.
Leszczyński Franciszek.
Schrecker Dr. Karol.
*b)* Sprostować nazwę powiatu przy nazwisku
* Starzeński hr. Henryk na *Żydaczów.*
* Moysa bar. Michał na Śniatyn.
*c)* Sprostować pisownię nazwiska:
Baczkowski na *Bączkowski.*
Łepkowski na *Łępkowski.*

Przyczem Redakcja uprasza uprzejmie o łaskawe podanie do jej wiadomości na kartce korespondencyjnej dostrzeżonych w spisie tym ewentualnych usterek, celem sprostowania tychże w najbliższym numerze »Łowca«.

## NADESŁANE.

Proszą nas o zamieszczenie:

»W wykonaniu uchwały XXXIII. Walnego Zgromadzenia krajowego Towarzystwa rybackiego, polecającej Wydziałowi opracowanie i przedłożenie projektu nowego statutu, ma niniejszem podpisany Wydział zaszczyt zaprosić najuprzejmiej Szanownych P. T. Członków na

**Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie**

Członków krajowego Towarzystwa rybackiego, które odbędzie się w sobotę dnia 3. czerwca 1911 r. o godz. 3-ej po południu w Krakowie, w wielkiej sali Towarzystwa Rolniczego, przy placu Szczepańskim l. 8, II. piętro.

Porządek dzienny:
1. Odczytanie projektu nowego statutu Towarzystwa.
2. Dyskusja.

W razie nieprzybycia ilości członków statutem przepisanej, odbędzie się tego samego dnia, w temsamem miejscu i z tymsamym porządkiem dziennym, o godz. 3½ po południu, ponowne Walne Zgromadzenie, które w myśl § 13. statutu poweźmie uchwały bez względu na ilość obecnych członków.

*Wydział Krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie*".




## Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego, wpisali się za staraniem pp. Biesiadeckiego Władysława, Wojtunia i Ziembowicza pp.:
Głowiński Józef.
Szczurowski Włodzimierz.
Ujejski Mieczysław.
Zwoliński Florjan.

Za sprawą zaś Dra Karola Mátyasa pp.:
Antoniewski ks. Ignacy.
Dwernicki Józef.
Dydyński Bolesław.
Kłosowski Władysław.
Kwolewski Zdzisław.
Lorenz Jan.
Niemkiewicz Leon.
Radwański Marjan.
Trzciński Franciszek.





Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek**.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, Zimorowicza 14.